



Wychodzi raz na tydzień. Kosztuje rocznie \$1.00. Dla tych co trzymają Gazetę Katolicką, wynosi przedpłata roczna tylko 50 centów. Do Europy: z Gazetą \$1.00, bez Gazety \$1.50.

Za redakcją odpowiedzialne Pol. Lit. Tow. w Chicago. Listy i korespondencje adresować należy: Polish Literary Society, albo: W. Smulski, 606 Noble Street, Chicago.

Entered at the post office of Chicago Ill., as second class matter.

APROBATA.

Niniejszem udzielam aprobatę moją pismu "Dzień Święty" i zalecam takowe jak najgoręcej naszym Polakom-Katolikom.

Chicago, dn. 3. Stycznia R. P. 1883.

+ P. A. FEEHAN,
Arcybiskup Chicagowski.

KALENDARZ TYGODNIOWY.

DNI:
Czwartek, 20 Grudnia.
Piątek, 21 Grudnia.
Sobota, 22 Grudnia.
Niedziela, 23 Grudnia.
Poniedziałek, 24 Grudnia.
Wtorek, 25 Grudnia.
Środa, 26 Grudnia.

KATOLICKI:
Teofila m., Liberata.
Suche dni. Tomasza ap.
Suche dni. Zenona m., Flaw.
4 Adw. Wiktoryi p. m.
Wigilia. Adama i Ewy.
Boże Narodzenie.
Szczepana pierw. męczennika.

SŁOWIAŃSKI:
Bogumiła.
Tomisław bł.
Drogomir.
Sławomira.
Godysława.
Grzmisława.
Wróciwój.

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus !

NA NIEDZIELĘ CZWARTĄ ADWENTU.

Ewangelia św. Łukasza w rozdziale III.

Piętnastego roku panowania Tyberyusza Cesarza, gdy Poncyusz Piłat rządził żydowską ziemią, a Heród był Tetrarchą Galilejskim, a Filip brat jego Tetrarchą Iturejskim i Trachonickiej krainy, a Lizaniasz Abileńskim Tetrarchą — za najwyższych kapłanów Annasza i Kaifasza, stało się słowo Pańskie do Jana, syna Zacharyaszowego na puszczy. I przyszedł do wszystkiej krainy Jordanu, opowiadając chrzest pokuty na odpuszczenie grzechów, jako jest napisano w księgach mów Izajasza proroka: Głos wołającego na puszczy: Gotujcie drogę Pańską, czyncie proste ścieżki Jego. Wszelka dolina będzie napełniona, a wszelka góra i pagórek ponizony będzie i krzywe miejsca będą proste, a ostre drogami gładkimi. I oglądając będzie wszelkie ciało zbawienie Boże.

Żłóbek dzieciątka Jezus.

W krainie wschodniej, gdzie Jordan płynie,
Żłóbek ubogi od wieków słynie:
W nim Jezus Chrystus, Najświętsze dziecko,
Z Niebiosów ziemskie poczęło życie.

Tam Matka Boska, Święta Dziewica,
Czysta jak światło co z gwiazd przyświeca,
Dzieciątko - Jezus światu powiła,
Najpierwsza boski hołd mu złożyła.

Do nędznej szopki gwiazda przywiodła
Trzech królów wschodnich, co tronu godła
U stóp Dzieciątka złożyli sami,
Cześć mu oddali wraz z pastuszkami. .

Opromieniona święta dziecina,
Nosząca imię Bożego Syna,
Światłem z Niebiosów świat uwesela
Bóg - Ojciec zesłał w Nim Zbawiciela.

Nim Chrystus mędrców dziwił w świątyni,
Z Janem Chrzcicielem bywał w pustyni,
A gdy powrócił w miejsca rodzinne,
Tulił do serca dziatki niewinne.

Kochać bliźniego uczył na ziemi,
Przykład cnót dawał postępkami Swemi,
Uczył przebaczać wrogom ich winy.
Bogu być miłym przez dobre czyny.

Zbawiciel świata, Jezus, Syn Boży,
Sam się przed Ojcem Niebieskim korzy;
Braterstwo głosi i siłą męża
Pokusę ducha złego zwycięża.

Jezus chrzest przyjął, jako znak wiary,
Zaparcie siebie, czystej ofiary;
Gromadzi uczniów, i Słowo Boże
Pośród prostaczków głosi w pokorze.

N-edość Mu słowa, działać zaczyna,
Bo tak Bóg Ojciec nauczył Syna;
Toż Chrystus ucząc czynem i słowem,
Umarł na krzyżu w wieńcu cierniowym.

Odkąd krzyż stanął, padł Zakon stary,
Przed jasnym blaskiem prawdziwej Wiary;
Bliźni bliźniego kocha jak brata:
To krwią Swą sprawił Zbawiciel świata.

Panowanie Władysława Zygmunta IV.

(Dokończenie.)

Ale obok tego wszystkiego były też i strony ujemne. Przy dobrobycie i bezczynności zaczęli panowie gnuśnieć, a zajmując się li tylko sprawami osobistymi, poczęli się między sobą swarzyć. W każdej części kraju znakomitsze rodziny poczęły się ze sobą kłócić i swarzyć, a niezgoda ta szkodliwie bardzo oddziaływała na stosunki wewnętrzne. Władysław złemu zaradzić nie mógł, bo król w obec szlachty nie miał żadnego znaczenia; szlachta rządziła królem, a gdy król sam od siebie coś chciał zrobić w kraju, zaraz powstał krzyk i hałas, że król chce być samowładzcą. Na inną jednakże wpadł Władysław myśl, aby zakończyć swary domowe. Postanowił umysły zająć wojną, a ta wielorakie obiecywała mu korzyści. Z Moskwą i Szwecją wojować nie mógł, bo tu trwał rozejm, ale Tatarów raz na zawsze trzeba było poskromić, a przez to kraj na przyszłość stale byłby od nich zasłonięty i Kozacy, którzy już zaczęli brdysać, mieliby zatrudnienie. Dalej jeszcze sięgał plan Władysława. Chciał on zarazem ubezpieczyć się ze strony Turcyi, więc i tej postanowił wojnę wypowiedzieć, zwłaszcza, że przeszło 150 tysięcy polskiego ludu było w tureckiej niewoli i smutny ich los był na galarach. Miała więc Polska wielkie zadanie, złamać skutecznie moc pogańskich Turków i Tatarów. Wiedział i to dobrze Władysław, że szlachta nie da pieniędzy na wojnę, kiedy nawet wtenczas dać nie chce, gdy już nieprzyjaciół ziemię polską pustoszy — więc tedy postanowił własnym kosztem wystawić wojska, a mógł się na to odważyć, bo długi jego już były zapłacone, i miał piękny posag żony. To samo jednakże nie byłoby wystarczycie, gdyby

nie czynna pomoc innych i szczęśliwy zbieg okoliczności. Do wojny z Turkami zawarła z Władysławem tajne przy mierze rzeczpospolita Wenecka, przeznaczając na wojnę 500 tysięcy talarów, prócz tego przyrzekli pomoc pieniężną: Papież, książęta włoscy, Hiszpania i Francya. Do przymierza przeciwko Turcyi przystąpiła także Moskwa, dalej Han Tatarów z Krymu, Persya i wszyscy chrześcijańscy lennicy Turcyi. Była więc taka siła przeciwko Turcyi, że nie tylko myślano o wypędzeniu jej zupełnem z Europy, ale nawet o oswobodzeniu Ziemi świętej. Władysław miał już przeszło 50 tysięcy wojska zebranego, zbrojownie znakomicie opatrzone i doskonałą artyleryą; gotowy też był cały plan wojny: Moskwa z hetmanem litewskim miała wymieść Tatarów (nie Krymskich, tylko Przekopskich), a reszta podług planu uporać się miała z Tucyą. Wszystko więc było gotowe, wielki hetman korony był wtajemniczony w te plany i brakło tylko przyzwolenia sejmu.

Ile klęsk, ile rozlewu krwi byłaby sobie Polska oszczędziła na przyszłość, gdyby ten plan był przyszedł do skutku! Możeby dziś jeszcze była potężną! Wszystkie słowiańskie narody były pełne zapału, Kozacy byliby za Władysława w ogień poszli, tak ich ujął swoją ojcowską dobrocią — położenie było tak korzystne, jak nigdy przedtem i potem, a co najgłówniejsza: kraj na tę całą wojnę fenyga dać nie potrzebował. I sądziłby może niejeden, że chociaż Polacy z wielkim zapalem nie przyklasnęli wojnie, to przynajmniej jej się nie sprzeciwiali, skoro nic ich nie kosztowała i sami na nią iść niepotrzebowali. Ale gdzież tam! Całe przygotowanie nie mogło długo pozostać w tajemnicy, a panowie, główni przewodzcy szlachty, poczęli rościć rozmaite pretensye do Władysława, widząc, że ich teraz będzie potrzebował. Król rozdawał dostojenstwa i intratne urzędy, jak mógł, ale że było niepodobieństwem, aby wszystkim nienasyconym zapchał gardła, przeto poczęli szlachtę burzyć i opierali się wojnie, wołając że król samowolnem postępowaniem gwałci ich przywileje i wolność, że mu bez pozwolenia narodu nie wolno wojsk zbierać. Nie było rady: rad nierad musiał Włady-

sław ustąpić. Ogłosił więc, że się cofa od wojny z Turkami, ale tylko sposobi wyprawę na Tatarów Przekopskich, że tej wyprawy nie sposobi samowolnie, bo domagał się jej od każdego sejmu. Osobny też wydał dekret, aby dalszych nie zaciągano żołnierzy. Myśląc, że tem zadowolnił szlachtę, odbył pielgrzymkę do Częstochowy i pomimo oporu doradców, udał się do Lwowa, aby stąd kierować wyprawą. Tu jednakże spotkało go to, czego się najmniej spodziewał: Mikołaj Potocki, hetman polny, wypowiedział mu posłuszeństwo. Nie dosyć na tem, że został hetmanem, chciał on jeszcze kasztelaństwo krakowskie, a że tego nie otrzymał, rozgniewany oparł się królowi. Tak samo robili inni panowie, których łakomstwo także nie zostało nasycone. Nie widział więc Władysław innej rady, jak odwołać się do sejmu.

Tymczasem nieprzyjaciele królewscy nie próżnowali; obmawiali Zygmunta, że zgromadził 100 tysięcy wojska tylko na to, aby synowi swemu zabezpieczyć następstwo na tronie, aby szlachtę zamienić w chłopów, a chłopów w szlachtę, i tym podobne wymyślano brednie. Naturalnie, że sejmiki ani słuchać nie chciały o wojnie, ale postanowiły udać się w pokorę z przeproszeniem do sułtana, a uchwalić podatki, aby Tatarów zaspokoić darami. To też gdy przyszło do sejmu, daremnie się wysilał kanclerz wielki, Ossoliński, sejm takie przykrości robił Władysławowi, że ten się rozchorował, a nadto postanowił, aby zaciągi wojskowe natychmiast zostały rozpuszczone, aby straż nadworna królewska składała się tylko z 1200 żołnierza, aby królowi nie było wolno ani samemu wojsk zaciągać, ani zawierać z kimkolwiek przymierza. Takto łakomstwo, pycha i opór panów zepsuły wszystko. Sam poseł wenecki, który na wszystkich te rozhovory patrzył, przyznał, że: Polacy byliby strasznymi świata, gdyby się nauczyli porządku i posłuszeństwa.

Nic nie znaczyły u panów ogromne wydatki na wojsko — wszystko przepadło, a Francya wojsko zgromadzone, samych zaciężników cudzoziemskich, użyła na swoją korzyść. Na tem jeszcze nie koniec, bo na następnym sejmie roku 1647 na nowo sprzeciwiali się posłowie wyprawie przeciwko Ta-

tarom, a nadto tak królowi haniebnie ubliżali, że ten miejsce obrad musiał opuścić. A co najsmutniejsza: panowie wcale się nie wstydziли tego, że temu, czego dobro ojczyzny wymaga, opierają się z pobudek prywatnych, że łakomstwo ich nie zostało zaspokojone, ale publicznie to przyznawali. — Na tym sejmie urządzono także regularną komunikacją pocztową.

W roku tem nawiedził Władysława smutek wielki: umarł mu syn jedyny, a jeszcze z tego smutku król nie ochłonał, już musiał patrzeć na nową klęskę, rozlew krwi bratniej, na bunt Kozaków, którzy rozdrażnieni wskutek krzywd doznanych, a przytem bezczynni, czekali tylko lekkiego podmuchu, aby bunt podnieść krwawy.

Był wtenczas pomiędzy Kozakami człowiek zdatny i wykształcony, szlacheckiego rodu, Bogdan Chmielnicki, który wielkich łask doznawał od króla i wielkiego hetmana, i sam do wysokiej w Kozactwie doszedł godności. Tego podstarości Czechryna, Daniel Czaplicki, grubo pokrzywdził, a gdy ani hetman, ani też sejm nie chciał się za nim ująć, a król, jakkolwiek mu przyznawał rację, nic w obec panów zrobić nie mógł, rozjątrzony Chmielnicki udał się do Tatarów i połączył się z nimi przeciwko Polsce.

Teraz hetman Potocki poznał skutki swego oporu, ale już było za późno, Wdał się z Chmielnickim w układy, a gdy tenże domagał się wszystkich dawniejszych swobód kozackich, wyprawił przeciwko niemu syna swego Stefana z wojskiem, które się po większej części składało z Kozactwa. Niedoświadczony młodzieniec uderzył na obwarowany obóz Chmielnickiego przy tak zwanych Żółtych Wodach, gdy spostrzegł, że wszyscy Kozacy go opuścili i przeszli na stronę Chmielnickiego. Teraz, gdy mu ani tysiąca żołnierza nie zostawało, udał się z Chmielnickim w układy i za wolność cofnięcia się oddał Kozakom swoje działa polowe. Ale zdrajcy hajdamaki nie dotrzymali słowa, lecz napadli na ogolonego i bezbronego Stefana, a gdy i Tatarzy z tyłu zaszli mu drogę, nie było nawet ratunku w ucieczce. Którzy nie polegli, dostali się do niewoli, pomiędzy poległymi był Ste-

fan Potocki i Barabasza, ataman kozacki, który królowi pozostał wiernym.

Po czterech dniach dowiedział się hetman o klęsce syna. Zaczął więc cofać się ze swemi wojskami, ale było za późno. Kozactwo i Tatarzy tak ich obsaczyli, że tylko mała garstka zdołała się przebić, a Potocki hetman, wzięty ranny do niewoli, wydany został Tatarom. Okropna kara spotkała go za opór stawiany królowi.

Władysław właśnie pracował nad tem, aby schizmatyków pogodzić z Unitami, gdy się dowiedział o buncie Kozaków. Natychmiast wysłał rozkaz hetmanom, aby się nie zapuszczali w nieznane stępy kozackie, kazał czekać za sobą i sam wybrał się na Ukrainę, aby osobistym swem wystąpieniem do walki szlachtę pociągnąć za sobą. Tymczasem rozkaz jego przyszedł za późno, a on sam w Mereczu nad Niemnem zapadł nagle na zdrowiu i umarł r. 1648 dnia 20 maja. Teraz powstał żal i lament wielki w narodzie, poznano jakiego kraj stracił króla, oddawano mu wszelką sprawiedliwość, ale wszystko to było zapóźno — panowie popchnęli Polskę na pochyłą drogę!

Pieczeń ubogich.

W roku 1188 był w Kolonii przy kościele św. Jakóba proboszczem ks. Eberhard, człowiek rzadkiej świętobliwości i cnoty. Służąca jego poszła pewnej soboty, jak to zwykle czyniła, do jatek, aby zakupić mięsa.

Gdy weszła do jatek, odchodziła stamtąd właśnie służąca burmistrza, która targowała nadzwyczaj piękną pieczeń, ale jej nie kupiła, gdyż była za droga. Kucharka proboszcza zbliżyła się i zapłaciła za tę pieczeń żadaną kwotę, dość znaczną sumę. Służąca burmistrza długo oglądała się daremnie za podobną pieczęnią, wreszcie udała się do domu, aby się zapytać, czy za ową pieczeń może tyle pieniędzy wydać, sądziła bowiem, że tej drogiej pieczeni tak rychło rzeźnik nie sprzeda. Gdy powróciła, już mięsa nie było i za-

razem dowiedziała się od rzeźnika, że je kupiono dla proboszcza kościoła św. Jakóba.

Służąca opowiedziała to swemu panu, który pieniąc się od złości, zawołał:

— Więc to, co dla burmistrza miasta Kolonii jest za drogie, kupuje biedny i niby świątobliwy proboszcz św. Jakóba?! Dobrze, pokażę ludziom co to za ptaszek. Jutro zaproszę się do niego na obiad i zedrę maskę z świętoszka!

Nazajutrz o zwykłej obiadowej godzinie pojawił się burmistrz z kilku zaufanymi na probostwie i bez ceremonii zaprosił się do niego na obiad. Zdziwiony tym niezwykłym zaszczytem, jaki go spotkał, nie wiedział proboszcz z razu, co powiedzieć, ale ostatecznie uniewinnił się, że nie jest przygotowany, a stół jego bardzo jest skromny.

— Postanowienia mego nie odmienię księżu proboszczu, — oświadczył burmistrz, — czem chata bogata tem rada; wszystko co nam dasz, będzie nam miłe, a jestem przekonany, że będziemy zadowoleni.

— W takim razie proszę panów do stołu, — odpowiedział proboszcz i zaprowadził gości do bocznego pokoju, prosząc, aby zasiedli przy stole.

Właśnie zadzwoniono na pacierze, a proboszcz ukląkł i pobożnie odmówił modlitwy. Przy małym stoliku, na którym tylko dla proboszcza było nakrycie, miał teraz obiadować wszechwładny rządca miasta Kolonii. Przyniesiono kilka jeszcze talerzy i zastawiono na stole rosół, jarzynę i mięso, z którego rosół był wygotowany. Z dobrym apetytem zabrali się goście do jedzenia i nie długo trwało, a wszystko było sprzątnięte do reszty. Teraz nastąpiła przykra chwila milczenia i oczekiwania.

Burmistrz myśląc, że to wstęp obiadu, oczekiwał z największym spokojem, co będzie dalej, sądząc że niezadługo przyniosą na stół pieczeń i sposobił się na to, aby zawstydić księdza i wytknąć mu jego zmysłowość — tymczasem skończyło się na tem, że kapłan wezwał gości, aby wspólnie z nim podziękowali Panu Bogu za spożyte dary.

— Obłudniku! — zawołał burmistrz rozwścieklony, —

nie będziesz już nadal przed nami udawał pokornego świętoszka! Jesteś zarówno żarłokiem, jak brudnym sknerą! Gdzie jest ta pieczeń, która za drogą była dla burmistrza miasta Kolonii, a którą dla ciebie wczoraj kupiono? Zachowałeś ją sobie może na to, abyś sam używał bez świadków, a w obec nas udawał powściągliwego?

Na tę niespodzianą zaczepkę zbladł proboszcz widocznie, ale wnet dawną odzyskał swobodę i z największym odpowiedział spokojem:

— Tak jest, kazałem wczoraj kupić pieczeń, ale nie dla siebie. Jakiej jej było przeznaczenie, chętnie bym wam powiedział, gdyby mi nie zależało na tem, aby to pozostało w tajemnicy. — Jednakże — — — chodzi tu nie tylko o honor mój osobisty, ale także o honor kapłana, dlatego wyjawić to muszę. Proszę panów za mną.

Drżącym krokiem poszedł kapłan naprzód i z widocznym przewyciężeniem się otworzył drzwi do sali.

Około nakrytego stołu siedziało grono biednych starców, na których zoranych obliczach troski i cierpienia były wyryte, którzy jednak tu, zdaje się, zapomnieli o nędznej swej doli, bo radość i wesołość jaśniała z ich twarzy.

— Oto dwunastu biednych, — zauważył proboszcz, — których w każdą niedzielę ugaszczam, aby po sześciu mozolnych dniach krwawej pracy i niedostatku, w tym świętym dniu się pocieszyli. Dla nich to, jak widzicie, przeznaczoną była ta pieczeń, gdyż moje potrzeby i wymagania bardzo są małe.

— Ależ ja widzę trzynaście osób u stołu, — zauważył burmistrz, a gdy proboszcz temu zaprzeczył, liczył po kilka razy i zawsze tę samą znalazł liczbę.

Proboszcz więc wywołał wszystkich z nazwiska, aby przekonać burmistrza, że się myli, i udowodnił mu, że tylko dwanaście jest osób.

— Ale czemuż — odparł burmistrz, — pomijasz tego tam człowieka, którego oblicze niebiańską tchnie słodyczą, a który tak znacząco na nas patrzy?

Zdziwieni i świętym dreszczem przejęci wszyscy spojrzeli po sobie — — — burmistrz oddalił się przerażony.

Któż był owym trzynastym, którego widział burmistrz, a którego ani proboszcz ani żaden z obecnych dostrzedz nie mogli? Nikt tego nie wie, tylko stare akta kościelne domyślają się, że to był sam Zbawiciel, który powiedział: "Cokolwiek jednemu z tych maluczkich uczyniliście, mnieście uczynili."

Opryszek Borowski.

(Dokończenie.)

Ale dzban tak długo wodę nosi, aż się ucho urwie.

Pośród lasów tucholskich, tuż przy samym trakcie, wznosi się mogiła, a na niej kolumna marmurowa z figurą N. Panny, kolumnę tę i figurę wystawił był pewien kupiec z Elbląga, którego ojciec na tem miejscu przez opryszków został zamordowany.

W rok po tem morderstwie, a w trzy lata po ostatniem spotkaniu się prezesa z zuchwałym Borowskim, przytrzymała jego banda przy tej figurze wóz, na którym jechał dyrektor muzyki Goslar i piękna żoneczka jego Róża, słynna naonczas śpiewaczka.

Wóz złupiono do szczętu, a Goslara przywiązano do kolumny, aby go rozstrzelać, bo gdy go opryszki napadli, dobył pistoletu i jednego z nich zastrzelił. Za tę jedną kulkę z pistoletu miał teraz odebrać dwadzieścia kul karabinowych.

— Módlcie się za męża waszego, — odezwał się jeden z bandy do Róży, podczas gdy towarzysze jego stanęli w pogotowiu z nabitą bronią; — ale prosimy, abys się raczyła pospieszyć, bo w przeciągu pięciu minut będziesz, piękna pani, wdową.

Błada jak lilia, upadła Róża na kolana przed figurą Matki Boskiej, złożyła ręce i przecudnym i uroczym zaśpiewała głosem:

“O sanctissima,
O piissima,
Dulcis Virgo Maria!”

I podczas gdy śpiewała, zamilkli śpiewacy w powietrzu, ptaszyny opuściły główki i słuchały. — Ponurzy mieszkańcy lasu, towarzysze zbójckiego rzemiosła, opuścili karabiny i słuchali, — figura Madonny na kolumnie zdawała się uśmiechać do śpiewaczki, a z poza gęstych chmur wychyliło się słonko poranne i światłem swem oblało główkę śpiewającego aniołka.

Matka Zbawiciela wysłuchała modłów kochającej małżonki i sprowadziła wybawcę.

Młody, wysmukły porucznik czarnych huzarów, w eleganckim mundurze, pędził traktem na karym koniu, a opryszkowie powitali go radośnie, bo ów młody porucznik nie był to nikt inny, tylko Aleksander Borowski, herszt opryszków.

Gdy przybył na miejsce, zsiadł lekko z konia, a opryszkowie z uszanowaniem stanęli przed nim w szeregu.

Nie uważając wcale na jego przybycie, nie przerywała Róża swej modlitwy i z większem śpiewała natchnieniem:

“Mater amata,
Intemerata,
Ora, ora pro nobis!”

Gdy już ostatni ton przecudnego śpiewu przebrzmiał i echo lasów zamilkło, wystąpił jeden z bandy i zdał hersztowi sprawę z tego, co było zaszło.

— Wstydzicie się towarzysze! — krzyknął Borowski zachmurzony. — My polujemy na bogatych sknerów, ludzi używających w zbytkach, i lichwiarzy, ale nie na biednych rzemieślników i spokojnych mistrzów sztuki, którzy tu spokojnie przechodzą, a na wieki niech uschnie ręka, któraby sięgnęła po zapracowany grosz robotnika, lub wynagrodzenie sztuki. Natychmiast uwolnijcie tego człowieka od słupa i oddajcie mu własność jego nietkniętą.

Bez szemrania wykonali opryszkowie niezwłocznie rozkaz, a po kilku minutach małżonkowie siedzieli znowu w powozie, w serdecznych wyrazach podziękowawszy opryszkowi.

— Mnie się podziękowanie nie należy, — odrzekł grzecznie Borowski, — ale mnie pani do wielkiej wdzięczności zobowiążesz, jeżeli spełnisz jedną prośbę. Piątego sierpnia jest rocznica śmierci drogiego mego ojca. Urządź pani w katedrze w Królewcu w tym dniu żałobne nabożeństwo, i w czasie mszy św. zaśpiewaj na chórze tak samo pięknie i rzewnie, jak dziś tu w lesie to przecudne: "Mater amata," a żaden potentat na ziemi nie będzie tak wdzięcznym, jak rycerz lasów i stepów, piękna pani!

Róża miała tyle tylko czasu, aby położyć rękę na sercu na znak przyrzeczenia, gdy woźnica zaciął konie, jak gdyby go stado wilków goniło.

Pamięć Borowskiego na ojca, którego zmartwieniem sam w grób wpędził, była pożądanym materiałem dla wszystkich niespokojnych języków nad Preglą; ale więcej jeszcze jak dla języków obywateli — dla ócz i uszu policyi.

Można było przysiąc na to, że zuchwały opryszek w jakimkolwiek przebraniu będzie piątego sierpnia na owym nabożeństwie. To zwietrzyła policya, która — jak wiadomo — najdelikatniejszy ma nos na całej kuli ziemskiej.

Nadszedł dzień oczekiwany i katedra była przepelniona. I agenci policyi próbowali dziś odegrać komedią, i w rozmaitych przebraniach wmieszali się pomiędzy gęste tłumy.

Skończyła się msza, a śpiewaczka Róża siedząc tuż przy organach, podniosła się ze swego siedzenia, — w tem nagle opuściła nuty i przerażona uchwyciła się za szyję, bo zdawało się jej, jakoby na niej wiła się żmija jak lód zimna.

Ale nie była to żmija, tylko ten kosztowny rubinowy naszyjnik, który, — jak już wiemy — znikł przed kilku laty ze szyi pani prezydentowej w Elblągu.

Zdziwiona odwróciła się Róża, ale nikogo nie widziała, tylko sześć sędziwych posiwiąłych kapucynów, którzy klęcząc pobożnie odmawiali różaniec.

Lecz dziwna rzecz! Tuż przed najstarszym mnichem leżał elegancki pistolecik, który mu był wypadł przy owym szybkim ruchu, z jakim naszyjnik włożył śpiewaczce na szyję.

Wprawdzie pobożny braciszek przykrył to małe świecidelko natychmiast swym habitem, ale mimo to nie uszło całe zajęcie uwagi szpiegów.

A gdy Róża srebrnym swym głosikiem zadzwoniła owo przecudne: "Mater amata," wtenczas pieśń ta błagalna brzmiała jak wyrok potępienia dla tego wilka w owczej skórze, który zbezcześcił świątynię Pańską.

Przy wychodzeniu z kościoła przytrzymano owych sześciu kapucynów, a z ciemnych habitów wyłonili się Borowski i pięciu najodważniejszych jego towarzyszy.

Już też Borowski ująć nie zdołał. Skazano go na dożywotnie ciężkie więzienie.

Głęboko pod ziemią we wieży twierdzy Grudziądza żył Borowski długie jeszcze lata, i węglem po mistrzowsku wyrysował panoramę całego miasta Królewca na wszystkich czterech ścianach ciemnego swego więzienia. Raz tylko w tygodniu wyprowadzano go z więzienia, aby odetchnął świeżem powietrzem i światłem dziennem.

Niezbadane są drogi Pańskie.

Do oberży pewnego większego miasta schodzili się co wieczór niektórzy starsi obywatele; przy piwie gawędzono o tem i owem. Pewnego wieczora rozmowa była więcej ożywiona, jak zwykle. Wprowadzono bowiem gościa z innego miasta, który u jednego z obywateli od kilku dni przebywał.

— Czy pan znasz przyjaciela naszego, Alfreda Z.? — zapytał ktoś gościa. — Od dwudziestu lat, gdy od nas się wyprowadził i w waszem mieście zamieszkał, nic o nim nie słyszeliśmy.

— Znałem go dobrze, — odpowiedział gość, — umarł biedak przed sześciu tygodniami, tknięty apopleksją.

— Szczęśliwy człowiek! — zauważył lekkomyślnie ktoś z obecnych; — bez choroby, bez bóleści opuścił to życie! I ja bym sobie życzył takiej śmierci! W młodszych latach naszych, gdy Alfred jeszcze był u nas, byliśmy obaj nierozłą-

czonymi przyjaciółmi, zawsze swobodni i weseli. Nie było też psoty, którejbyśmy nie byli wyrządzili, i figła, którego byśmy nie byli splotali.

— Alfred bardzo się zmienił, — rozpoczął gość na nowo. — Od czterdziestu lat, jak go znałem, stał się bardzo poważnym i małomównym. Rzadko chodził w towarzystwo, ale codziennie na mszę św. i bardzo często przystępował do Sakramentów św. W dawniejszych latach miał być bardzo wesołym, a nawet wyuzdane wieść życie, a szyderstwa jego dowodziły, że i wiary wiele nie miał.

— I skąd tak od razu się zmienił? — zapytał jeden z obecnych.

— Alfred miał matkę pobożną, — odrzekł gość; — poznałem ją, gdy raz do niego na krótki czas przyjechała. Ta bogobojna niewiasta umarła na jego rękach. Długoletnie jej modły za zbłąkanego syna, nauki i jej prośby, cnotliwy jej przykład w czasie kilkotygodniowego pobytu jej u syna, przyczyniły się niezawodnie nie mało do tej zmiany usposobienia. Niektóre notatki, które po nim pozostały, wyjaśniły też powód jego małomówności. Nieboszczyk w młodszym wieku, razem z równym sobie towarzyszem i przyjacielem, zdruzgotał był krucyfiks, stojący przy drodze. Później, gdy mu się oczy otworzyły, gorąco żałował bluźnierczej swej zbrodni, stąd to poważne usposobienie..

— A więc ten krzyż na górze św. Bennona za miastem, zburzył Alfred ze swoim przyjacielem! — zawołał ktoś z towarzystwa. — Któżby to był myślał, gdyśmy znaleźli krucyfiks, tak haniebnie zbezczeszczony! — Ale cóżto, Ferdynandzie, dla czegoś taki blady? Czyś chory?

Wszystkich oczy zwróciły się na Ferdynanda, który sam się był nazwał najlepszym przyjacielem Alfreda z lat młodości i żył sobie nagłej śmierci.

— Ferdynand był Alfreda najlepszym przyjacielem, — zauważył ktoś z grona.

— Co chcesz przez to powiedzieć? — wrzasnął Ferdynand, — ja krzyża nie zniszczyłem, ja nie!

— Ale któż ci to zarzuca? — odpowiedział pierwszy.
— Ja tylko powiedziałem — — —

— Ja krzyża się nie tknąłem, — krzyczał Ferdynand, piniąc się ze złości, — niech tu na tem miejscu trupem padnę, jeżeli mówię nieprawdę.

Wszyscy obecni z wielką trudnością tylko zdołali rozniewanego uspokoić. Nie upłynęło ani pół godziny, gdy wpada do izby przestraszona służąca Ferdynanda.

— Panie, — zawołała, — chodź pan czemp prędzej do domu, bo panna Justyna ma napad krwiotoku!

Ferdynand się przeraził.

— Pan Bóg mię karze na jedynem mojem dziecku! — zawołał rozpaczliwie. — Tak, ja pomagałem zniszczyć ów krucyfiks!

Justyna miała lat dziewiętnaście. Piersiową chorobę, którą cierpiała od lat kilku, znosiła z pokorą i poddaniem się woli Bożej. To też doznała tej łaski, że przed śmiercią z zupełną przytomnością przyjęła Sakramenta św. Na drugi dzień przeniosła się do wieczności.

Ferdynand i małżonka jego szli za trumną. Głęboka boleść, która się malowała na obliczu rodziców, ogólne budziła współczucie. Od tej chwili Ferdynand zmienił się zupełnie. I on stał się poważnym i religijnym. Poszedł zaraz do spowiedzi i codziennie odtąd uczęszczał do kościoła. W ten sposób bezustannie starał się na śmierć przygotowywać; miał bowiem to przeczucie i mocne przekonanie, że także umrze nagłą śmiercią nietylko za karę swego świętokradztwa, ale i wskutek zaklęcia się na wypowiedziane kłamstwo.

Grób Justyny, jako też góra św. Bennona, były jedynym celem jego przechadzek. Na tej górze znajdowała się mała kapliczka, którą pewna pobożna pani na miejscu zburzonego krzyża wystawiła, jako zadosyćuczynienie za czyn świętokradzki. Tu nieraz widywano Ferdynanda zatopionego w modlitwie.

Droga do tej kaplicy prowadziła przez gęste zagajenie. Gdy Ferdynand pewnego wieczora tedy przechodził, usły-

szał krzyk w gęstwinie. Pospieszył za głosem i ujrzał chłopą napadniętego przez włóczęgę, który mu nowe ubranie przemocą odbierał. Ferdynand uwolnił chłopą z ręki rabusia, ale otrzymał tak silne uderzenie w głowę, że padł bezprzytomny. W tym stanie znaleziono go i zaniesiono do domu. Umarł nieodzyskawszy przytomności. Zeznanie rabusia na sądzie i świadectwo chłopą, stwierdziły, że Ferdynanda śmierć była ofiarą miłości bliźniego, a podziwiamy w niej i sprawiedliwość Boga i miłosierdzie Jego: sprawiedliwość śmierci nagłej, niespodzianej, — miłosierdzie w tem się pokazało, że ta śmierć, na którą był przygotowany, była świętą, bo poświęceniem się dla miłości bliźniego.

FRASZKI.

Przebiegłość. Szedł sobie szlachcic w Warszawie w staropolskim stroju i w czerwonych bótach, ale tego nie wiem, czy to w teraźniejszych, czy też w dawnych czasach; dosyć, że się tam już Kozacy uwijali. Dwóch takich brodaczy założyło się z szynkarzem, że szlachcicowi, którego zoczyli na ulicy, z nóg mu bóty zwarują. Cóż tedy robią? Oto idą za owym panem i umawiają się na głos, prawie kłócą się i nieomal biją; jeden powtarza: ma, a drugi: nie ma. Uderzył ten wrzask szlachcica; obraca się do nich i pyta o przyczynę kłótni.

— Oto, — odzywa się jeden, — mój kamrat powiada, że pan masz słomę w bótach, a ja utrzymuję, że nie, i oto się kłócimy.

— O! dla tego? — zawołał szlachcic, — nie mam, nie!

— A myby chcieli zobaczyć, — rzekł drugi Kozak, — bośmy się o to założyli, a zakład znaczny.

Na co szlachcic: — Ale gdzież! tu na ulicy przecież bóta nie zdejmę.

— Nie na ulicy, nie, paniczku, — rzekł znowu Kozak, — ale tam w tym domu, upraszamy bardzo.

Szlachcic, pocziwa dusza, idzie do pierwszego lepszego domu i w sięni pozwala sobie zdjąć jeden bót, a potem śmiejąc się, mówi: — No! widzicie, że nie ma słomy. —

— Tak, tak, w tym nie ma, ale w drugim może.

— No, to ściągnijcie i drugi!

Ściągnęli i porwawszy oba, w nogi mój drogi, a szlachcic został boso.

Nieudane porównanie. Nauczyciel wyjaśnia dzieciom przypowieść o dobrym pasterzu i dodaje: — Pasterz, który swoją trzodę prowadzi, jest przełożonym tej trzody. Wyobraźcie sobie, dzieci, że wy jesteście owieczkami, natenczas ja jestem — — —? „Starym baranem!“ woła cała klasa.

